

Samolot minął Lanzarote i za chwilę mieliśmy zobaczyć Teneryfę i Pico del Teide. To najwyższy szczyt archipelagu Wysp Kanaryjskich, a zarazem Hiszpanii o wysokości 3718 m. Zaraz też ujrzeliśmy wulkaniczny stożek, a samolot rozpoczął lądowanie...

Mało kto wie, że na wejście na sam wierzchołek Pico del Teide należy posiadać pozwolenie (nie ma tej informacji

PICO DEL TEIDE

nawet w przewodniku Pascala), jest ono bezpłatne, a można je otrzymać w Santa Cruz w siedzibie Teide Parque Nacional przy ul. Emilio Calzadilla 5 (niedaleko Plaza de Espana). Dowiedzieliśmy się, że zostało ono wprowadzone ze względu na bardzo dużą ilość osób na wulkanie, głównie wjeżdżających tam koleją linową – Teleferico. Podczas naszej bytności w siedzibie Parku, miła pani poinformowała nas, że, niestety, wejście na szczyt powyżej La Ramblety (górną stacją kolejki) jest zamknięte ze względu na oblodzenie, nawet posiadane przez nas raki (które „w razie czego” zabrałem) nie pomogły. Niemniej permit wzięliśmy na następny tydzień mając nadzieję, że warunki w górach po słynnych tegorocznych kanaryjskich ulewach się poprawią. Przez ten tydzień postanowiliśmy zaliczyć sztandarowe atrakcje Teneryfy. Najpierw jednak popłynęliśmy niewielkim statkiem na wielorybie fotosafari – otóż pomiędzy wyspami La Gomera i Teneryfa upodobały sobie miejsce kaszaloty. Udało nam się do nich podplnąć bardzo blisko, były niemalże pod samą burta, a potem od strony oceanu obejrzelśmy jeszcze Los Gigantes – skaliste klify na brzegu Atlantyku i wąwóz Masca. Po dniu odpoczynku popły-

nęliśmy jeszcze na La Gomere – sąsiednią wyspę, gdzie odwiedziliśmy dom Krzysztofa Kolumba, Park Narodowy Garajonay z lasem laurowym w starej kalderze wulkanicznej oraz wysłuchaliśmy przedstawienia w języku gwizdanim (lekcje tego języka są prowadzone w szkołach na Gomercie do dziś). Następnym punktem naszego programu był ogromnie rozreklamowany Loro Park – położony w Puer-

to de la Cruz olbrzymi ogród zoologiczny i oceanarium oferujące także różnorakie pokazy. Oglądaliśmy tam przedstawienia prezentowane przez foki, a także delfiny, wspaniałe pingwinarium oraz rekiny, chodząc w tunelu na dnie olbrzymiego akwarium – to trzeba zobaczyć. Jeszcze tego samego dnia odwiedziliśmy Icod de los Vinos z jego tysiącletnim drzewem smoczym oraz wioskę Garachico zalaną przez lawę podczas ostatniej erupcji wulkanu w 1706 r. i odbudowaną przez jej mieszkańców w tym samym miejscu. W tym czasie zadzwoniliśmy do dyrekcji Parku Narodowego Teide i okazało się, że ścieżka na szczyt jest już otwarta, a więc jutro w górę!

Po bardzo wczesnym śniadaniu ulokowaliśmy się w wypożyczonym Citroenie Saxo i ruszyliśmy w górę – do pokonania były serpentyny od poziomu morza aż do wysokości ok. 2300 m. Po drodze, która okazała się całkiem znośna, mijaliśmy piękne bory sosnowe, a następnie ponad nimi wyjechaliśmy na pola lawowe kojarzące się ze scenarią science fiction, po chwili zaś ukazał się nam Pico del Teide, okryty tylko na samym wierzchołku płaszczykiem chmur. Z Canadas (ok. 2300 m) wyruszyliśmy ok. 8.30, a droga samochodem w

górze zajęła nam ok. 1,5 godz. Zaskoczył nas bardzo silny wiatr! Szybko się ubieraliśmy – zrobiło się bardzo zimno. Podejście było bardzo łagodne, aż do Montaña Blanca, a my, ponieważ permit mieliśmy na godziny 13-15, nie śpieszyliśmy się (permit czyli zezwolenie orientacyjnie określa godzinę wejścia, aby w rejonie szczytu w tym samym czasie przebywało maksymalnie 50 osób). Minęliśmy tzw. jaja Teide – olbrzymie, okrągłe glazy, których czerń mocno kontrastowała z siarkowym – żółtym kolorem pól lawowych. Takie właśnie bryły wyrzucił z siebie wulkan



podczas ostatniej erupcji (1706). Trochę wyżej stok okazał się stromszy, jednak ścieżka wciąż biegła łagodnie. Powoli pięliśmy się w górę robiąc krótkie przerwy co 200 m podejścia. W skałach wiatr się uspokoił, na jednym z przystanków wступujemy do Refugio Altavista – altimetr wskazuje wysokość ok. 3200 m i, niestety, pogoda psuje się z minuty na minutę. Z porannej małej chmury zrobiła się wielka okrywająca całą górę. Mimo to postanowiliśmy iść dalej. Powyżej schroniska pojawia się pierwszy lód, jednak teren znacznie się tu wypłaszcza i nie utrudnia to specjalnie marszu. Widoczność bardzo słaba, spotykamy schodzącą z góry parę, która wyprzedziła nas wcześniej na podejściu. Nie byli na szczycie – dla nas za silny wiatr i lód, jest bardzo niebezpiecznie – mówią. My odpowiadamy, że jednak spróbujemy i idziemy dalej. Z mgły wyłania się La Rambleta i budynki kolejki, w pomieszczeniu przy toaletach jest jedna dziewczyna, jej chłopak poszedł sam na górę, kolejka oczywiście nie chodzi. Odpoczywamy chwilę i ruszamy na szczyt – mocno wieje, ale nie jest tragicznie. Powiedzcie mu, żeby wracał – woła za nami



dziewczyna. Oczywiście nie było tam nikogo, kto sprawdziłby nasz permit. Chłopaka spotkaliśmy po 5 min, był na szczycie, lodu nie ma, za to wiatr silny jak cholera! Faktycznie wiało jak diabli, ale znowu nie tak, żeby się wycofywać... Zresztą ścieżka na szczyt to po prostu ... kamienne schody – coś w stylu naszego Szczelińca – nawet przy oblodzeniu poradziłobyśmy sobie z tym bez większego problemu. W końcu, na ostatnich odcinkach skurczeni i przyklejeni do skały, żeby nas nie zwiało, dotarliśmy na szczyt – najwyższy szczyt Hiszpanii – Pico del Teide 3718 m. Widoczność wciąż zero, temperatura -8°C , wszystko momentalnie obrastało lodową szadzią, była godz. 14.30. Teraz tą samą trasą staramy się jak najszybciej zejść w dół, tak że po godz. 17 mocno zmordowani jesteśmy przy samochodzie – góry nie widać już wcale...

Postanawiamy wjechać tu jeszcze raz kolejką przy dobrej pogodzie. Następnego dnia zadzwoniliśmy do Teleferico, ale okazało się, że kolejka jeszcze nie chodzi – jedziemy zatem do malowniczego wąwozu Masca, a następnie Barranco del Infierno – pięknego kanionu zakończonygo niewielkim, acz ładnym wodospadem, zaś samo przejście jego dnem robi duże wrażenie. Następny dzień ponownie zaczynamy od telefonu do Teleferico na stację kolejki linowej – tym razem chodzi! A więc znowu w górę – już z daleka widać sznur samochodów przy budynku dolnej stacji. Udało się nam jakoś zaparkować (aż dziw, że nie ma tam opłat parkingowych) i oczy-



wicie musimy także odstać dobre pół godziny w kolejce do wagoników. Jazda z wysokości 2356 m na wysokość 3550 m trwa ok. 8 min. Ani jednej chmurki! Postanawiamy skorzystać z naszego permitu i jeszcze raz wejść na szczyt (panuje tu zasada, iż jeżeli Teleferico była nieczynna z powodu złych warunków atmosferycznych, pozwolenie jest ważne także na pierwszy dzień dobrej pogody) – tym razem na ścieżce stał parkowy ranger. W kraterze znowu charakterystyczny zapach siarki i znowu jesteśmy na szczycie, tym razem kontemplując widoki – zero wiatru, słońce, temperatura $+15^{\circ}\text{C}$, za to mnóstwo

ludzi... Owszem, widoki były piękne, ale chyba samotność na szczycie poprzednim razem sprawiła nam więcej radości...

W dół zjechaliśmy samochodem inną drogą, zwiedzając po drodze piękne miasteczko La Orotava, zaś pozostałe dwa dni do odlotu wykorzystujemy już na kąpiele słoneczne i oceaniczne przy naszym hotelu.

Dziękujemy za informacje i pomoc Agencji Trekingowej Everest z Opola.

Tekst: Marzena i Adam Kutny
Zdjęcia: Adam Kutny